ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE

Pismo dodatkowe do Gazety Korrespondenta Warszawskiego.

we ŚRODĘ
D. 23 Listopada.
1825.

Ner: 47

Varietas delectat.

I.

ULECZONE UROIENIE.

Powieść moralna z dzieł Kocebue, *ofiarowana Młodym Mężatkom.*

Stary Jegomość P. *Dobrucki* mieszkał na wsi, a zatém żył spokoynie i szczęśliwie. *Ludwika*, iego córka, panienka urody przedziwney, bawiła przy nim, a zatém była niewinna i dobra. Oyciec zasiewał i zbierał: córka trudniła się domem. On ieździł na polowanie: ona czytywała dobre książki; ale nie — myle się, ona naymiléy czytała romanse, a te podobno nie zawsze są naylepszemi książkami. Naylepszy nawet romans, obłąkiwa iakoś czytelnika, przenosi go na inny świat: dom swego bohatyra zamienia w pałac czarnoxięzki, a iego zagrodę w Elizeum.

Ludwika nie widywała w domu swoiego oyca innych mężczyzn, oprócz Xiędza Proboszcza i zyzowatego, kuternogę ekonoma. Lecz poymowała iuż, że muszą bydź mężczyzni, co prosto patrzą i chodzą. Utworzyła sobie istotę, środek trzymaiącą między Tomdzonem a Werterem, piękną iak poranek, gorącą iak południe, delikatną iak wieczor, a błogą iak noc. Ten płód, młodocianego iéy wyobrażenia, stał się iéy kochankiem, daley zrobiła go małżonkiem; a ów oblubieniec nadpowietrzny, był zawsze czułym, uprzedzaiącym, zawsze graiącym rolę kochanka, krótko mówiąc, poznać było, że *Ludwika* nie czytała księgi o małżeństwie napisanéy.

W sąsiedztwie mieszkał piędziesięcioletni maiętny szlachcic, który miał syna iedynaka młodszego od siebie o lat dwadzieścia. Hrabia *Zacrlewski* powrócił z podróży: na wielu dworach doznawał trapiących nudów; szczęśliwy, że iego serce niedało się pociągnąć wirom świata i unosiło się nad niemi, podobnie, iak ów oley, który żeglarz strapiony wylewa na morze rozhukane. Monarcha przypiął mu do prawego boku klucz szambelański; powrócił do domu dla sprobowania, czyli, bez pomocy iego nie portafi otworzyć sobie skarbów przyrodzenia.

Tą razą nie zawiodły go nadzieie, bo te nie zasadzały się na ludziach, lecz na iego własném sercu. Czytał, pisał, grał na flecie, był zdrów, a zatém i wesoł.

Pewnego dnia, leżąc na schyłku pagórka, uważał pole, na którém żeńce pracowali, i postrzegł zdala piękną, wysmukłą Panienkę; pierścienie włosów ciemnych wyglądały z pod kapelusza słomianego; stoiąc przypatrywała się pracuiącym. Hrabia młody leżał i przypatrywał się, byłby niewiedzieć co dał, gdyby wiatr był zrzucił iéy kapelusz z głowy, ponieważ wnosił, iż maiąc piękne i ciemne włosy, musi mieć piękne niebieskie oczy, na których widok nigdy nie bywał oboiętnym.

W tém zraniła sobie sierpem nogę stara wieśniaczka, krew tak obficie wybuchała z rany, iż omdlawszy padła na ziemię.— Szybko przyskoczyła wysmukła panienka, schyliła się do niéy, obmyła ranę wodą kolońską, którą miała we flaszeczce przy sobie, zawiązała własną chustką i poprowadziła staruszkę do iéy chaty. Młody Pan Szambelan, i dotąd nic więcey, iak Szambelan, lewą podparłszy się, a prawę położywszy nad oczyma, patrzał na nią póty, póki nieznikął w chałupie ostatni katał iéy białéy sukni. W tedy dopiero poczuł iż mu się serce rzuca, że mu się policzki czerwienieią. Podniósł się, ruszył do żeńców i zapytał: „moi kochani ludzie, powiedźcie mi, kto iest ta piękna panienka, ktora przy was stała i tę staruszkę ratowała?

Panna *Ludwika*, odpowiedział starzec, zdiąwszy czapkę. —Ey, nakryi głowę siwoszu. — Mospanie! zawsze zdeymuię czapkę,ilekroć wspominam Pannę*Ludwikę*, ona iest bardzo dobra i pobożna. Wtedy nastąpiło mnóstwo zapytań i odpowiedzi. Stary gaduła był niewyczerpany, a młodzieniec dowiedział się, iż był iuż w pół zatopionym.

Dnia następuiącego, gdy *Ludwika* była jeszcze w rannym ubiorze, ieździec przybrany stanął u iéy progu. Zsiadł, uściskał oyca, damę pocałował w rękę; mało o wszystkiém mówił, często rzucał wzrok na piękne oczy piwne. Na nieszczęście nie było iuż kapelusza słomianego, któryby przytłumiał ich przeymuiący ogień. Hrabia odiechał słabszym, iak przybył. Jeździł przez cały dzień, dziwiąc się nad tak długą drogą, dopiero wieczorem postrzegł, że trzy razy obiechał swóy pałac. W tedy przekonał się, iż nosi w sercu głębszą ranę od tey, którą owa wieśniaczka sobie w nodze zrobiła.

Następuiącego dnia udał się naykrótszą drógą do *Ludwiki*, i obrał sobie nayprędszy sposób, do ukończenia słodkiego serca udręczenia; tym zaś było, że rzekł do oyca: Chcesz mi WPan Dobrodziéy dać swoię córkę za żonę? Oyciec odpowiedział: dam; bo młody Hrabia posiadał to wszystko, co się oycu podobać mogło. Córka rzekła: poydę; bo piękny młodzieniec, miał taką postawę, która zwykła uymować panienki. W kilku niedzielach przysięgli sobie Państwo młodzi, a wkróce potém wyiechali do stolicy, dla przepędzenia tam zimy.

Ludwika znalazła swego męża ani nazbyt podobnym, ani znowu wcale niepodobnym do owego uroienia obrazu, który w sobie nosiła od lat cztérnastu. On był statecznym, nigdy nie dziwaczył, nie pieścił się, kochał serdecznie. „Bym moię żonę uszczęśliwił" mówił do siebie, „muszę zacząć od tego, abym pozyskał iéy przyiaźń. Muszę pozyskać iéy zaufanie; bo mąż chcący wzbudzić postrach, powinien bydź oszukanym, i tak się dzieie powszechnie. Nigdy nie powinienem udawać kochanka; bo z kochankiem niepostępuie się szczerze. Przymioty małżonka iednaiącego miłość, te bydź powinny: ma bydź zawsze przyiacielskim, bacznym, grzecznym, czułym, nigdy nie ma bydź uprzykrzonym, namiętnym, podeyrzliwym." Takie były iego z sobą rozmowy; posłuchaymy, co *Ludwika* do siebie mówiła.

„To rzecz osobliwsza, iestem młodą i piękną, a móy mąż nie kocha mię. Uczyniło go zimnym spokoyne posiadanie. Miewam towarzystwa, zos awuie mnie z niemi. Chcę gdzie wyiechać, nic mi się nie sprzeciwia. Powracam do domu, wita mię wprawdzie uprzeymie, ale nigdy nie pyta, gdzie byłam? Chcę doświadczyć iego miłości, chcę w nim wzbudzić zawiść. O mężczyzni, mężczyzni, trzeba was dręczyć, chcąc się wam dobrze podobać. Natychmiast zaniedbuiecie żonę, gdy iest czuła, wierna, uprzedzaiąca; iednostayne szczęście sprawia wam nudy. Nie masz ukontentowania bez goryczy; dziwactwa, zalotliwość, lekkomyślność są przyprawy, które wasz smak zaostrzaią. Serdecznie ci sprzyiam, móy Hrabio, lecz muszę zacząć tak postępować, iżbym zrobiła w tey mierze wątpliwość. Zobaczemy, czyli go nie potrafimy pozbawić owéy nie

znośney spokoyności, co wieczną wiosnę rozstacza po iego twarzy.

Co rzekła, to zrobiła — rzuciła się w wir roztargnień, udawała zalotną, w prawdzie niezgrabnie, ale przecież udawała. — Wszystkiemu, co czyniła, dawała postać taiemnicy, oddawała i odbierała odwiedziny, bez męża.

„Otóż mamy" rzekł Hrabia do siebie, „moia żona iest tak, iak wszystkie kobiety — unudziły ią cztery miesiące upłynionego małżeństwa. Jeżeli iéy dam poznać, żem w niéy zakochany, do moiéy biedy, okażę się ieszcze i śmiesznym. Muszę udawać i milczeć. To prawda, że nie zawsze uymuie serce, łagodność złączona z uprzeymością, ale za to mniéy wtedy skarg i wyrzutów." Milczał, ani pokazał pozoru przymusu i podwoił swoię grzeczność uprzedzaiącą.

Ludwika stała się niecierpliwą. „Móy Boże" wyrzekła, „niech ia robię co tylko chcę, ten człowiek, widzę, nigdy mię nie będzie kochał; ciągle iest spokoynym, ié dobrze i piie, nic go nie wydobędzie z iego iednostayności! Czyż mam kwasić życie z posągiem kamiennym, co nie umié ani kochać, ani nienawidzieć. Nie, Amor i Hymen nie mogą się pogodzić. Wolność iest matką miłości. Przyznaię, że móy mąż iest poczciwy, ale cóż wtedy począć, kiedy się nudzi i człowiek poczciwy?"

Takie uroienia zagorzałe truły to serce, a resztę dokonało powietrze zaraźliwe dworu. *Ludwika* stała się gniewliwą, dziwaczną, zimną ku przyiaciołom męża, i przykrą dla niego samego.

„Nie kocha mię" zawołał młody Hrabia, „ieźli ią dłużéy będę nudził moią nieczułością, w końcu mnie sobie znienawidzi. *Ludwika* mnie nienawidzi — o Boże!"

Pewnego wieczora rzekł do niéy: Zdaie mi się, że nie iesteśmy z sobą szczęśliwi.— Tak się coś zdaie. — Nie pytam przyczyny, serce rzadko miewa powody. — Przewybornie. — WPani dałaś mi rękę, niepoznawszy mię. — Co za wspaniałe oświadczenia! — Sam siebie za to ukarzę, sam się wypędzę z iéy obecności. WPani mieszkay w swoich pokoiach, ia zaymę inne, rzadko się widzieć będziemy. — Jak się mu podoba, rzekła *Ludwika*, tłumiąc w sobie łzy. Ufam WPani, nic po niéy nie wymagam, tylko to, co iéy przepisuie przyzwoitość, wychowanie, iéy własne serce. — Zgoda na to. — Od téy chwili, masz WPani osobny stół, usługę i powóz. — Przyimuię z podziękowaniem. — Byway WPani zdrowa.

Te ostatnie słowa wymówił z utłumionym żalem. Otworzył drzwi, obeyrzał się raz ieszcze. Twarz *Ludwiki* pałała pychą i miłością; miłość chciała mówić, pycha zatrzymywała słowa w uściech. Milczała. Hrabia poszedł do swoich pokoiów, zamknął się i płakał. Nad kanapą wisiał portret iego żony, pędzla *Darbesa*, w białéy sukni i kapeluszu słomianym, iak ią widział raz pierwszy. Ten obraz był odtąd szczególnym iego towarzyszem, iemu powierzył swóy smutek, przed nim skarżył się na swoie cierpienia.

Tymczasem *Ludwika* używała swoiéy wolności. Swietne zgromadzała towarzystwa, dawała wieczerze, bale, herbaty, koncerta, do iéy domu cisnęło się to wszystko, co było dobrym tonem. Rzecz naturalna, że kobiécie pięknéy, siedmnastoletniéy, nie zbywa na wielbicielach. Tysiące motylów latało koło młodéy róży, którą broniły tylko dobroczynne cienia niewinności.

W tém pokazał się młody Hrabia *Umizgalski*, naystrasznieyszy ze wszystkich dworskich pędziwiatrów. Było powszechne zdanie, iż mu się nie zdoła oprzeć żadna kobieta, a damy oszczędzały sobie daremnéy pracy. Był piękny iak poranek, pełny wdzięków. Mówił mało, ale dobrze! Głos iego i spoyrzenie nadawały wartości nayoboiętnieyszym rzeczom. — On był trzpiotem; ale posiadał sztukę, bydź takim z przystoynością. Rozsądna pycha iaśniała na iego czole; on rozstrzygał wszystko zawsze w słowach krótkich i łagodnych. Chętnie słuchał przeciwienia, a wtedy uśmiech był iego całą odpowiedzią. Nigdy się nie sprzeczał, nigdy nie

)2(

usiłował obiawiać dowodów zdania swego. Przy wysokiém mniemaniu o sobie, łączył grzeczną uważność dla drugich.

A tak stał się wyrocznią każdego posiedzenia, nie wiedząc sam, iakim sposobem. Nikt nieobierał sobie sukni, nikt nowego koloru powozu, niezaradziwszy się wprzód iego smaku. To dorzeczne, to piękne, były drogie słowa z ust iego, zaś iego milczenie, wyrokiem decyduiącym. Jego pochwały dodawały cechy piękności talentom, dowcipowi, rozumowi. Ta dama była w modzie, którą raczył zaszczycić spoyrzeniem, a wtedy każdy współzalotnik ustępował na stronę.

Biedna *Ludwika*, to dosyć, więcéy iak dosyć, dla serca niedoświadczonego, dla kobiety która niekontenta z męża.

Zdumiała się nad iego urodą, a bardziéy nad iego skromnością. Pełen uszanowania wszedł do pokoiu i usiadł na ostatniém mieyscu. Natychmiast wszystkich oczy zwróciły się na niego, nie mogąc się do sytu napatrzyć. Jego suknia była wzorem smaku. Panicze, przezierali go uważnie od stóp do głowy. Koronki, haft kołnierza, oprawa szpady, wszystko było uwielbiane. Każdy zapisywał troskliwie imie kupców i rzemieślników, u których kupował, i którzy dla niego rabiali.

Rzecz osobliwsza, wykrzyknięto: WPan szczególne posiadasz kolory i wzory.

Przemysł tak wysoko postąpił, odpowiedział *Umizgalski*, iż mało ma pracy, smak go zatrudniaiący.

Natychmiast całe towarzystwo było tego mniemania, iż *Umizgalski* wyrzekł rzecz głęboko rozważoną. On sam był tego zdania i zażył tabaki. Jego tabakierka narobiła znowu wielkiego hałasu, gdy tymczasem była roboty iednego mieyscowego kunstmistrza, którego chciał wsławić *Umizgalski*. Chciano wiedzieć cenę wszystkiego, uśmiechnął się i przyznał, że sam o niéy nie wie. Wtedy zaczęto szeptać, iż go musi kochać iakaś dama bogata, która mu dostarcza wszystkiego.

Wstydzi mię to, szepnął do ucha *Ludwice Umizgalski*, iż cała kompaniia zwraca uwagę na te fraszki, którąby zwrócić należało ku ważnieyszemu nader przedmiotowi. Ja muszę słuchać, muszę mówić, gdy iest moiém naygorętszém życzeniem, bym się tylko patrzał, — moia grzeczność nigdy mię więcéy nie kosztowała — spodziewam się, że mi to Pani raczy wynagrodzić, w spokoynieyszéy chwili.

Taki mężczyzna, iak Pan *Umizgalski*, iest zawsze miłym gościem, odpowiedziała zarumieniona *Ludwika*. Na co ukłonił się naygrzeczniéy, uśmiechnąwszy się nieco. Kompaniia uważaiąc ich bacznie, zaczęła się domyślać, iż zaczęła się między niemi intryga miłosna. *Ludwika*, co sobie nie tłómaczyła owych kilka słów rzeczonych do ucha, sądziła, iż nic więcéy nieoświadczyła, iak pozwolenie odwiedzania siebie i niepostrzegła ani owych migów, co sobie dawały damy, ani subtelnych ucinków, co się niektórym mężczyznom wymykały.

Umizgalski odszedł, *Ludwika* była roztargniona; zwrócono rozmowę o *Umizgalskim*. Jego zawistnicy i zawistniczki *Ludwiki* mówili o nim z pochwałą. Z dwudziestu dam, których posiadał względy, żadna nie miała powodu uskarżać się na niego. *Ludwice* nie wymknęło się ani słówko. Dwadzieścia kobiet, mówiła w duchu do siebie, to wiele. Lecz nie dziw, on szuka iednéy, któraby go na zawsze przywiązać miała i sama była zdolną, zachować ciągłą namiętność.

Ranek zawitał, wyglądano go. *Ludwika* była niespokoyna — nie przyszedł, coś było iéy źle — przysłał list, po przeczytaniu, ból głowy ustał. Pisał, że iest w rozpaczy, że musi ronić naypięknieysze chwile życia swoiego — natrętni oblegli go — nie może się im wyrwać, bo byli ludźmi znakomitemi — kończył usilną prośbą, by mu wolno było przybydź iak naraniéy, następuiącego poranku.

Nadszedł wieczór, *Ludwika* przyięła go-

ści oziębłe, poznano się na tém i dostrzeżono przyczyny.

Wymalowana Kasztelanowa *Wszędobylska*, odezwała się: *P. Umizgalski* pewnie dziś nie będzie w naszém kole — zaproszony na wieczór, do Woiewodziny *Zalotnickiéy*.

Ludwika zbladła, i rzekła do siebie: nie chcę iuż widzieć wiarołomcę. — Ale dla czegoż? Kto wie, czy nie przemawia złość lub zazdrość z tych ust malowanych? Nareszcie doświadczę? gdy go raz ieszcze zobaczę? Czyż nie należy go pierwéy wysłuchać, iak potępić?

Nadszedł poranek, *Ludwika* siedziała przy gotowalni. Hrabia *Umizgalski* wleciał iak pędziwiatr, lecz iak pędziwiatr naygrzecznieyszy pod słońcem. *Ludwika* się przelękła, iż ią zastał w zaniedbanym nocnym ubiorze, mężczyzna, którego zaledwie znała, a gdyby iéy był dopuścił czasu, byłaby się może i gniewała. Lecz on wyrzekł iednym tchem tyle pięknych rzeczy o iéy świeżych kolorach, o iéy boskich włosach, iż nie miała odwagi gniewać się na niego.

Natychmiast wpadł iéy na myśl dom P. *Zalotnickiéy*, lecz nie wypadało ldać poznać swoiéy zazdrości, a wyrzut, mógłby ią wydać. Poprzestała więc na oboiętném zapytaniu, gdzie wieczór strawił?

Gdzie? odpowiedział, ia sam nie wiem. Nie uwierzysz Pani, iak nudzi ten wielki świat! Szczęśliwy, kto od wszystkich zapomniany, zapomina także o wszystkich, by żył tylko dla siebie i dla miłości. Zawierzay mi Pani, ieźli iéy droga spokoyność i wolność, ratuy się z tego odmętu, który ią otacza. Na co tyle motylów, co iéy nadskakuią? Każdy pochlebia sobie, że ią ma w zdobyczy, może też Pani iuż wybór zrobiła! Otwarta poufałość zmięszała nieco *Ludwikę*, całkowicie oniemiała na ostatnie zapytanie. *Umizgalski* to postrzegł. — Możem był nieuważny. — Nie, odpowiedziała, ia żadnych nie mam taiemnic, bawią mię nadskakiwania młodych Ichmościów, lecz żadnego nie znayduię godnym stateczney miłości. *Umizgalski* wziął iéy wyrok za zbyt surowy, i względniéy mówił o swoich współzalotnikach. Pan *Wiercicki* może bydź bardzo miłym, mało posiada wiadomości; to szkoda, mówi bowiem nie źle o rzeczach, których nie rozumié; co dowodzi, że maiąc nieco wrodzonego dowcipu, można się obeyść bez nauki. P. *Zagorzelski*, iest trochę gapiowaty, ale żeby iaka młoda kobieta zadała sobie acy, przytłumić ogień iego młodości, byłoby z niego coś w czasie. Maior *Proscicki*, ma czucie, i mnie się zdaie, gdybym był kobietą, podobałaby mi się iego głupia otwartość; to piękna zdobycz dla iakiéy kobiety. — Szambelan *Pysznicki*. wiele o sobie rozumiéiące zwierzę; lecz niechno dostanie z kilka razy od kosza, stanie się rozważnym człowiekiem. Ci wszyscy nie są dla niéy. Pytam, cóż Pani pocznie z swoią wolnością? — Chcę iéy używać. — To żarty, w téy tylko chwili używamy wolności, gdy się iéy zrzekamy. Pani iesteś piękną i młodą, ieźli prędko nie oddasz swoiego serca, ono się samo odda. Ale prawda, że wybór ważny. Albo będziesz Pani kochać, albo będziesz kochaną: to rzecz naturalna. Lecz w iéy wieku, trzeba obierać kochanka, coby był doradcą i przyiacielem człowieka światowego, któryby ią o niebezpieczeństwach ostrzegał.

Ludwika rzekła z uśmiechem: Takiego, iak np. WPan Hrabio. — Prawda, nieźle by iéy było, gdybym niebył tak osączony, gdybym mógł się wydrzeć. — Nie rób WPan tego, byłaby to wielka ofiara z iego strony, mnieby wiele narobiła nieprzyiaciołek. — Ofiara? nic dla niéy nie będę ofiarował, u mnie nie iest żadną ofiarą opuścić to, co się mało szacuie, a dostąpić, czego się gorąco pragnie. Co się tycze nieprzyiacioł, o tych mało dba ten, co ma rozum i odwagę, aby żył tylko dla siebie. — W moim wieku iesteśmy boiaźliwe; wierz WPan, że drżałabym przed samą tylko rozpaczą Woiewodziny *Zalotnickiéy*.

(*Dokończenie nastąpi.*)

II.

PARYŻ.

(*Wyiątki z dziennika bezimiennego podróżnego.*)

(*Ciąg dalszy.*)

W domu Wielkiey Opery byliśmy na operze *Pharamond*, którą pierwszy raz w dniu imienin Królewskich wystawiono. Każdy akt téy opery ma innego kompozytora: albo *Boaldiego*, albo *Bertona* albo *Kreuzera*. Załaciwszy 10 franków zaięliśmy mieysce na balkonie pierwszego rzędu; parkiet kosztuie 7 fr. 50 cent: parter mieysce naytańsze w teatrze 4 fr. — Dom *Wielkiey Opery* wystawiony iest dopiero przed 4 laty i iakkolwiek wewnątrz z wielkim przepychem iest ozdobiony, iednakże budowa iego niema gustownego i szlachetnego stylu. Bogate wyzłacania przypominaią wiek Ludwika XIV; wszakże pięknemi nazwać ie nie można. Przestrzeń dla publiczności większa iest, niż w tuteyszym domie opery. Ma 4 rzędy loż, a ogromny żyrandol, iakiemu podobnego ieszcześmy nie widzieli, oświeca cały teatr. Żyrandol ten do 16 stóp średnicy maiący, łączy w sobie naygustownieyszą i naypięknieyszą robotę bronzową i kryształową. 80 płomieni gazowych na żyrandolu i tyleż na *proscenium* rozpościeraią prawdziwe światło słoneczne i nawet w głębi loż, każdą twarz czynią widzialną. Trudno iest wystawić sobie, na iak wielkie niewygody w teatrze Francuzi są wytrzymali. Spostrzegłszy na parterze, mnóstwo wązkich, bez poręczy i prawie próżnych ławek, na których tylko kilka osób w naywłaściwszém znaczeniu tego wyrazu, w poprzek leżało, i utrudzeni niewygodą na balkonie, postanowiliśmy zamienić bilety balkonowe na parterowe; odpowiedziano nam w kassie, że za biletem 10frankowym, każde mieysce podług upodobania zaiąć można. Przybywamy więc na parter i zaymuiemy w szerz trzy ławki. Po prawéy i lewéy stronie widziemy mnóstwo chustek około wązkich ławek poobwiązywanych i gdzie niegdzie rękawiczki pozostawiane. Takim sposobem mieysce naznaczywszy, na pewne do niego wrócić można.

Trzy uderzenia młotkiem za kurtyną oznaymiaią o rozpoczęciu sztuki. Uwertura się zaczyna. Warty i żandarmy pełniący swoie obowiązki przy wniyściu, oddalaią się w téy chwili, bo zdaniem publiczności po rozpoczęciu sztuki niepodobna byłoby kierować.

Zaczyna się opera. Spodziewaliśmy się usłyszéć i zobaczyć coś nadzwyczaynego, aleśmy się bardzo omylili. Ubiorów nie można było nazwać gustownemi; ale też trudno było zastosować ubiory do wieku, którego nigdy niebyło, a właśnie w takim wieku, dzieie się rzecz opery Pharamond. Dekoracye nie miały nic szczególnego, a cała opera zdaie się bydź grą przygotowawczą do ostatniéy dekoracyi, to iest do obłoków, w których się pokazuią wszyscy Królowie francuzcy z swoiemi rodzinami. Tylko maszynerya iest wyborną.

Po skończonéy operze idziemy wraz z innemi do *Tortoniego*. Przybyliśmy iuż za późno: niezliczone mnóstwo powozów stoi wzdłuż ulicy i bulewarów; służący cisną się i biegaią, wszyscy wołaią na *garsona* o lody, *biscuit* i lodową limoniiadę. Nie mogąc się doczekać, aby który z 10 garsonów nam usłużył, wstępuiemy tym czasem do kawiarni, zwanéy:

Café de Paris.

Uznanoby u nas za marnotrawcę bogacza, którnyby dom swóy tak urządził, iak ta kawiarnia iest urządzona. Z tém wszystkiém restauracya ta należała do nayświetnieyszych mieysc publicznych, tylko w swoich początkach, teraz ustąpić musiała pierwszeństwa innym. Na wszystkich ścianach goreią płomienie gazów w wazonach kryształowych; w lustrach wysokość ściany maiących, odbiiaią się wszystkie przedmioty, a same zegary bronzowe i figury w średniéy sali, cenić można na tysiąc dukatów, zwierciadła zaś nierównie więcéy. Do 40 stolików zaymuie obszerną przestrzeń w pokoiach i iednym gabinecie. Już przy żadnym nie znaleźliśmy mieysca. Zadziwia z razu, że

w zgromadzeniu, z kobiet i mężczyzn złożoném nikt kapelusza nie zdeymuie. Ale w krótce o dogodności tego zwyczaiu przekonać się można, pomyślawszy, że na umieszczenie kapeluszów nie byłoby mieysca. Karty na ogromnych arkuszach, spisy 200 do 300 potraw zawieraiące, są w Paryżu rzeczą zwyczayną, ale tu manję nowości i zbytek cokolwiek wyżéy posunięto: książki w marokin oprawne z złotemi napisami i brzeżkami, znayduią się na stolikach i zawieraią w porządku alfabetycznym, a przy końcu w porządku reiestrowym, spis potraw i napoiów w restauracyi będących. W środku pokoiu, z którego inne niemal w każdym punkcie widzieć można, siedzi przed ogromném zwierciadłem, iak na bal wystroiona gospodyni kawiarni, albo inna piękność. Wielkie wazony alabastrowe, niemniéy bronzy i figury, zdobią stoiący przed nią stół marmurowy, na którym dama główną księgę utrzymuie, wpisuiąc wszystko z naywiększą dokładnością. Każdy z markierów usługuie oznaczonéy liczbie stolików i odpowiedzialny iest z swoiéy usługi. Jeśli kto z swoiego markiera nie iest kontent, udaie się do *Dame de Comptoir* (Gospodyni) która mu natychmiast innego markiera wyznacza; ona także spisuie dla każdego stolika tak zwaną *Carte payante*, a oprócz ilości tamże wyrachowanéy, płaci się dla *garsona* kilka *sous*. Czynsz od tego lokalu wynosi rocznie 13,000 franków.

Jakkolwiek urządzenie kawiarni *Tortoniego* mniéy iest wytworne niż kawiarni Paryzkiéy, iednakże w innych stolicach mało która iéy wyrównywa. Sam *Tortoni* powiesił się z rozpaczy, że kawiarnia Paryzka o 5 sous taniéy lody sprzedawała. Usługuiący tu markierowie, nie biorą żadnéy pensyi, będąc dostatecznie płatni dodawanemi przez gości tak zwanemi *Sous*.— Przychodzą do kawiarni o godz: 7 zrana, zatrudnieni są przez cały dzień, iedzą i sypiaią gdzie chcą i służą iedynie za pozwolenie usługiwania innym. Dochód takiego garsona wynosić może 3000 do 4000 fr. rocznie.

Bulwary Paryzkie.

W zamiarze dowiedzenia się, co na bulwarach Paryzkich dnia dzisieyszego iest nayciekawsze, stanęliśmy na naybliższym rogu przed afiszami. Ale iakże tu wybór iest trudny! 56 afiszów, ieden od drugiego większy w rozmaitych kolorach, ogromnemi literami drukowanych, przylepionych iest na iednym rogu ulicy.— Dla przekonania o téy trudności wymieniemy tu głównieysze: *Theatre de l' Opera*: Fernand Cortez. Les Pages du duc de Vendôme. *Theatre Francais*: Sylla. Les fourberies de Scapin. *Opera Comique*: Le bourgeois de Reims. Le Maçon. *Theatre Royal Italien*: le premier Acte de la Clemenza di Tito, troisieme acte de Romeo e Giulietta et la jeune femme colére. (Zwykle tylko części oper w Paryżu są wystawiane) *Theatre de l' Odeon*: Tartuffe. Robin des bois. *Theatre de Madame*; Les inseparables. Le Charlatanisme. La maitresse au logis, Le plus beau jour de la vie. *Theatre du Vaudeville*: Le retour á la ferme. Le docteur du defunt. Les singes ou la parade dans le salon. *Theatre des Variétés*: Les deux Jockos. Les Blouses. France et Savoie. Les deux boxeurs. Les deux tailleurs. *Theatre de la Gaité*: La Pension de Retraite, ou le précépteur dans l'embarras. Le Commis Marchand. l' Etrangére. *Theatre de l' ambigu*: Clara, ou le malheur et la conscience. Cagliostro. *Theatre de la porte Saint Martin*: La fille à marier, ou la double éducation. Le petit ramoneur. Jocko, ou le singe du Bresil. *Theatre de Montmartre*: Le pensionat des jeunes demoiselles. Maison à vendre. La quarantaine. *Theatre Mont Parnasse*: Le conscrit. Phedre. Suzanne et les viellards. *Theatre de Madame Sacqui*. Spectacle des Acrobates. *Theatre de M. Comte*: Les marionettes à la foire. Le petit Dragon. Le Baille de Pantin. Le Bonnet de Grenadier. *Frankoniego* afiszów nie było, bo na prowincyę wyiechał. Teatra pantominów na *Boulevard du Temple* również były zamknięte, ale natomiast przylepione są ieszcze afisze o *Georamie* otworzonéy dopiero od 3 dni; o *Dioramie*, wynalazku dla malarstwa w naszych czasach nayważnieyszym; o *Panoramie* w trzech a-

fiszach: Rzym, Amszterdam i Stambuł wystawiaiący; o *Europoramie*, czyli po prostu mówiąc o katarynkach, w których przez okienka rozmaite przedmioty widzieć można. Daléy czytamy: *Gallerie d' animaux vivans*, (ktorą w *Iardin des Plantes* bezpłatnie i z większém ukontentowaniem widzieć można, bo tam każdy zwierz w oddzielnym obwodzie się przechodzi.) *Barriere du Combat* (Heca i walka byków.) *Spectacle forain du Luxembourg*, gdzie się tańcuiący na linie popisywać maią. *Jardin de Paphos*: Bal champêtre, Jeux divers etc. Wstęp do tego ogrodu iest wolny. *Idalie*: Bal paré; *Cwiczenia gimnastyczne*; *Billard Chiński*; etc. *Vauxhall*: bal etc.; *Jardin du Delta*: Wieyska zabawa, bal, wystawy mimiczne, sztuki gimnastyczne, wielki faierwerk etc. *Ranelagh, Parc Royal de Boulogne*: bal, koncert etc. *La grande Chaumiére, ou les montagnes suisses*: bal, wielka illuminacya, ślizgawka etc. — *Jardin d' Italie*: wielka zabawa, bal, sztuki na linie drucianéy, wielki faierwerk. Przeczytawszy tę połowę afiszów, niemieliśmy cierpliwości dokończyć ie i pośpieszyliśmy ku Bulwarom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

III.

ANAKREONTYK

z Nowo-Greckiego.

Sprawiedliwość Bóstwo czczone,
Ma wdzięki tkliwe pieszczone;
W postaci pięknéy Bogini,
Poganin iéy cześć swą czyni.

W słabiuchney i miękkiéy dłoni,
Szalka szalkę chwieie, goni,
Przepaska, zdradliwe oczy
Wąziuchną zasłoną tłoczy...

Piękność zawsze lekka, żywa,
Roskoszna, czasem gniewliwa,
Porywczo widzi i czuie,
Gromi, czasem się lituie.

Nie dziw, że pięknéy dziewice,
Zakryto czułe zrzenice;
Lecz nazbyt wązka zasłona,
Lub niedosyć zaciemniona...
Bo często widzieć się daie,
Że i niewinność połaie.
Ale złych ochrania ludzi,
Zapewne ią powab łudzi.
Albo niedosyć ma siły,
Za ią postrachy zwalczyły.

Ale, czy się dziwić można,
Że piękność słaba ulega,
Bardziéy ta niedbałość zdrożna,
Ze iéy Jowisz nieprzestrzega.

E. D.

IV.

RÓŻNE MYSLI.

Dla czego miłość więcéy ma znaczenia iak stan małżeński? dla tego: że każdy romans iest przyiemnieyszy iak iego historya.

Ludzie uczeni lubią tych którzy bawią, tak, iak podróżuiący lubią to, co ich bawi.

Nikt tak prędko niezapomina swéy fizyonomii iak kobiety; i z téy to podobno przyczyny, bez zwierciadła obeyśdź się niemogą.

W życiu ludzkiém, krótkie są *lata* po sobie upływaiące; krótszym od nich człowieka *wiek* młodzieńczy, męzki i sędziwy; a *życie* naykrótsze. Ale za to: *dnie* są długie, *godziny* ieszcze dłuższe, a naydłuższe *minuty*, bo częstokroć wiecznością się zdaią.

Duma iest szlachetną namiętnością, nie może więc bydź ślepą na własne błędy; ale *Pycha* nie iest taką.

Niezawsze dowierzay człowiekowi, który zapewniaiąc, rękę kładzie na sercu; ani temu, co od ust, z uprzeymością każdemu się kłania.

Jakże wiele ludzi żyłoby spokoynie i szczęśliwie, gdyby o cudze sprawy tak mało się troszczyli, iak o swoie własne.